Tom XVII. Nr. 2.

11. lipca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Skiba.

I.

Stanisław wychodzi na człowieka.

Zamożnym gospodarzem we wsi Dąbrowie był Bartłomiej Skiba; w chacie miał dostatek, w stajni pełno chudoby a w stodole zboża, a do tego szacunek u ludzi. Bartłomiej był dobrym gospodarzem, oszczędnym i pracowitym, nie chodził do karczmy i na żadne pijatyki — chwalił Pana Boga nietylko modlitwą w kościele ale i dobremi uczynkami: nieszczęśliwego podratował, głodnego nakarmił, utrapionego pocieszył, tak, że nikt z jego chaty nie wychodził z przekleństwem, tylko z prośbą do Boga o zdrowie i błogosławieństwo dla tak dobrego człowieka jak Bartłomiej. Sierotami się opiekował i nie dał ich krzywdzić nikomu — a sieroty miały go za Ojca i dziękowały Bogu za dobrego opiekuna, prosząc o długie życie dla niego.

To też Pan Bóg błogosławił mu we wszystkiem. Zboże mu dobrze się rodziło, chudoba nie zdychała i żadnego nieszczęścia nie zsyłał na niego. Największą pociechą i szczęściem dla Bartłomieja był synek, Staszek, który chował się zdrowo i do wszystkiego był ciekawy a posłuszny. Gdy miał już siedm

lat zaskakiwał koło księdza, który go lubiał bardzo, zaglądał ciekawie do książki i wypytywał się co tam napisano. Ksiądz widząc spryt i ochotę chłopca, kazał mu do siebie przychodzić i obiecał że go nauczy czytać i pisać. Staszek ucałował rękę księdza, z radością przystał na to, i przychodził regularnie na naukę, choć miał dobry kawałek drogi do plebanji. Do roku umiał już czytać i pisać. Ksiądz widząc że chłopiec ma talent i chęć do nauki, pytał się go czyby nie chciał chodzić do szkoły. Na co Staszek odpowiedział:

— Żeby tylko tatuś zezwolili!

— Poproś tylko, to ci pozwoli i dopomoże — mówił mu ksiądz — chwała Bogu stać go na to.

Staszek nie długo myśląc, pobiegł do domu i zaczął ojca i matkę prosić i całować po rękach, żeby mu tylko pozwolili chodzić do szkoły i dopomogli. Ojciec nie chciał pozwolić na to, Staszek zaczął płakać i lamentować. Ojciec bojąc się żeby mu co złego ze zmartwienia się nie stało, poszedł się poradzić księdza, coby z nim zrobić.

Gdy wypowiedział wszystko księdzu, i prosił go o radę, jakby można uspokoić chłopca, bo lamentuje i za książką ogromnie przepada.

Ksiądz mu na to odpowiedział:

— Mój Bartłomieju, cóż wam to szkodzi, kiedy chłopiec ma ochotę do nauki, pozwolić mu pójść do szkoły, dać mu chleba i kaszy, żeby z głodu nie umarł, kupić mu parę książek i zostawić go w miasteczku? Niech się uczy w szkole rok, dwa, a będziemy widzieć czy chłopiec ma talent i ochotę uczyć się dalej.

Bartłomiejowi jakoś nie było na rękę.

— Ta proszę księdza jegomości, on jedynak, jak mu zasmakuje miasto, to nie zechce wrócić na rolę a na starość któż mię poratuje? — nie będzie komu wody podać!

— O to się nie bójcie, jak ma mieć dobre serce, to o was nie zapomni — i nie myślcie że w mieście tak jest bardzo dobrze! niejeden miastowy byłby szczęśliwym, gdyby miał taką rolę i chatę jak wy macie.

— Ej, jak zostanie panem, to o ojcu chłopie zapomni — mówił Bartłomiej.

— W Boskiej mocy wszystko, On kieruje ludźmi — mówił ksiądz — może tak pokierować, że wasz syn zostanie panem i was na starość weźmie do siebie, i będziecie szczęśliwi i spokojni, a tak gdy mu nie pozwolicie i nie pomożecie, to będzie miał żal do was.

— Proszę księdza jegomości, kiedy już taka wola Boża i rada księdza, to niech się uczy, tylko ja nie wiem, gdzie go dać i jakie książki mu pokupić.

— To ja z wami pojadę do miasteczka — mówił ksiądz — tam mu wynajdziemy miejsce, gdzie będzie mieszkał, pokupimy potrzebne książki i w szkole zapiszemy, cóż zgoda?

— Niech księdzu Jegomości Pan Bóg da zdrowie że łaskaw na mnie — i ucałował Bartłomiej księdza w rękę.

— Nietylko dla was, ale dla każdego tak zrobię — mówił ksiądz — bo każdego człowieka jest obowiązkiem dać drugiemu radę i pomoc, do tego jeszcze, gdy ta może przynieść jaką korzyść dla ludzi i kraju własnego, a trzeba wam wiedzieć że nauka jest również bogactwem — i gdy wszyscy ci co posiadają rolę, będą bogaci nauką to nam bieda nigdy nie dokuczy, nie damy się bałamucić wydrwigrzoszom i przybłędom i za nos nikt nas nie będzie wodzić bo się nie damy i we wszystkiem sami sobie poradzimy; nikt nie pokłóci nas między sobą dla swojej korzyści bo będziemy mieć swój rozum i jeżeli co między nami zajdzie, to w zgodzie załatwimy między sobą. I wtedy dopiero będzie dobrze na świecie, gdy nie będzie jednego, coby nie potrafił czytać i pisać, a każdy z nauki będzie korzystał.

— Słowa święte księdza Jegomości — mówił Bartłomiej — pójdę i każę napiec chleba, do worka nasypię kaszy, masła i sera do jaszczyków nakładę, a jutro...

— Jutro pojedziemy wszyscy trzej — przerwał mu ksiądz.

Bartłomiej z radości ucałował w rękę księdza i ucieszony spieszył do domu.

Nazajutrz jechali na wozie ksiądz i Bartłomiej wioząc Staszka do szkoły — zawieźli i zostawili go w miasteczku.

*

Z początku Staszkowi było bardzo przykro, tęsknił za ojcem i matką, za domem i księdzem, którego kochał jak drugiego ojca, ale książka nie pozwoliła mu rozpaczać, bo trzeba się było uczyć.

I uczył się dobrze, tak, że zawsze należał do pierwszych uczniów w klasie.

Bartłomiej jeden rok, drugi i trzeci dowoził synowi chleba i kaszy, a w czwartym roku Staszek potrafił sam na chleb zarobić ucząc młodszych od siebie studentów, których rodzice, jedni dawali mu za to śniadanie i obiad, drudzy wieczerzę i mieszkanie. I umiał tak sobie zjednywać przyjaciół nietylko w swojej klasie ale i w wyższych, że ci co przechodzili do wyższych klas dawali mu książki przeuczone z których mógł się uczyć, a i suknie dawali mu każdy po trochu, tak, że nie potrzebował kupować ani książek ani odzieży. Co rok szedł wyżej i z każdym rokiem lepiej mu się działo.

Z początku przez parę lat przyjeżdżał na wakację do domu, ale później nie mógł, bo przez ten czas zarabiał sobie, by mógł się porządnie ubrać, bo gdy już dorastającym był młodzieńcem, to mu wstyd było za darmo od drugich przyjmować — i choć sam miał mało, to jeszcze dopomagał takim, co nic nie mieli.

Ukończywszy szkoły i pozdawawszy egzamina, został doktorem co to leczy chorych ludzi, i choć miał już chleb w rękach, nie przestał się dalej kształcić, czytając różne mądre książki. I dobrze mu się działo, bo miał nietylko szczęście u ludzi, ale i nauka jego zjednała mu zaufanie, tak, że kupami szli do niego z prośbą o radę i pomoc lekarską, za którą mu dobrze płacili; ale od biednych nic nie przyjmował. Ożenił się dosyć bogato, z miastową panną, która go mocno pokochała — i był szczęśliwym, błogosławiąc księdzu i ojcu, którego pragnął odwiedzić, ale był mocno od nich oddalony i do tego obowiązki nie dawały mu uskutecznić tego zamiaru, odkładał z roku na rok.

I tak upłynęło lat sporo. Panu doktorowi Stanisławowi Skibie przybyło kilkoro dziatek, a najstarszy syn już prawie kończył szkoły, a najmłodsza córeczka już na fortepianie umiała

zagrać. Uskładał sobie trochę grosza, a sprzykrzywszy sobie życie miastowe zatęsknił za rodzicami i swą rodzinną chatą.

Bartłomiej postarzał się mocno tęskniąc wciąż za synem. Razu jednego — a było to na wiosnę w Niedzielę przyszło do niego kilku sąsiadów na pogadankę, on siedział na ławie i żałował się przed nimi że usłuchał księdza dając Staszka do szkoły, a teraz na starość żadnej nie ma pomocy, i miał już zamiar pójść i księdzu wyrzuty robić — w tem wszedł do izby jakiś pan porządnie ubrany i obejrzał się po obecnych, którzy powstawali razem z Bartłomiejem na widok przybyłego pana.

Nieznajomy pan po chwili przypatrywania się staremu Bartłomiejowi rzucił się ku niemu zawoławszy:

— Ojcze! ojcze! — i całował go po rękach i twarzy a później i matkę ucałował, przepraszając że tyle lat ich nie odwiedził.

Byłto Stanisław Skiba, syn Bartłomieja.

Z początku Bartłomiej nie mógł poznać syna, a obecni włościanie patrzali zdziwieni na to wszystko. Starzy z radości się rozpłakali i posłali zaraz z wiadomością do księdza, który postarzał się także mocno, ale niebawem przybył przywitać Stanisława Skibę — radość i szczęście było w chacie Bartłomieja, który prosił księdza by zaraz nazajutrz odprawił mszę, na podziękowanie Bogu za takie błogosławieństwo — i odprawiono nabożeństwo w kościele, a ucztę w chacie.

Pomimo wielkiej radości, smutek przelatywał po twarzy Bartłomieja — Stanisław spostrzegł i spytał dlaczego się smuci — Bartłomiej mu odpowiedział:

— Czego się mam cieszyć, to samo mię czeka com już przebył, tak tęsknić za synem będę jakem tęsknił, bo ty przyjechałeś odwiedzić ojca, to i pojedziesz.

— Nie ojcze! będziemy razem — pocieszał go syn.

— Ja na starość do miasta nie pojadę — mówił Bartłomiej — tu chcę umrzeć gdziem się urodził, a ty przyzwyczajony do miasta, gdzieby ci się chciało w takiej chacie mieszkać, co już się wali.

— Tu ojcze będziemy mieszkać razem — mówił Stanisław — tę chatę rozwalimy a nową ładną i dużą wystawimy, na to składałem pieniądze przez cały czas.

I radość była ogólna — a w całej wsi mówili o synu Bartłomieja, Stanisławie Skibie, który został wielkim panem.

Nazajutrz kazał zaraz rozwalić starą chatę i nowy dom zaczął budować, a tymczasem z rodzicami mieszkał na plebanji, a czeladź u sąsiadów. (Dok. nast.)

Żywot poczciwego człowieka.

Szymon to człek jak złoto:
Wszystko zrobi z ochotą
A o płacę nie pyta;
Bóg zapłać! ot kwita.
Ten, ów na niego mruga,
A on każdemu sługa.
Jeden domostwo stawia,
Drugi szopę poprawia;
— Hej! pomóżcie Szymonie!
On z siekierą ku niemu,
I już mu ściska dłonie,
Oko mu się uśmiecha,
Bo dopomódz bliźniemu,
To dla niego uciecha.

Czy choremu poradzić,
Czy drzewinę posadzić,
Wodę spuścić z doliny,
I czego nikt nie umie,
Szymon wszystko rozumie,
Na całą wieś jedyny.
O! miał zasług nie mało!
Gdy kowala nie stało,
Szymon sprawił kowadło.
Temu naprawił radło,
Lub poklepał kosisko,
Poczciwe Szymonisko!
Innemu konia kuje;
Pracuje i pracuje,
A o płacę nie pyta;
Bóg zapłać! ot i kwita.

Szymon nie był bogaty,
Ba, nie miał nic, prócz chaty,
Prócz kowadła i piły,
Głowy, serca i siły.
Lecz że taki poczciwy,
Rozumny a życzliwy,
To go wszyscy kochali,
I jak mogli wspierali.
Każdy dawał po trosze,
Garść zboża, parę groszy;
Prawda że to nie wiele,
Lecz że żony nie było,
Ni dziecka, ni rodziny,
Więc to jakoś starczyło,
Jakoś pchało się życie,
Lekko, choć nie okwicie.

Lecz minęło lat siła,
Wyszczerbiła się piła!
Już nie statkują nogi,
Już ustają w pół drogi;
Serce jeszcze gorące,
Ale ręce już drżące.
Igra z wiatrem włos siwy,
Wzrok przygasły zmieniony,
— Jakiż ja nieszczęśliwy!
Nie mam dziecka, ni żony,
I wiodę żywot łzawy;
Przeżyłem wiek wysługi,
Ciężki, ciężki i długi!
Dziś nie mam łyżki strawy,

A kto mi zamknie oczy,
Kiedy mię śmierć zaskoczy.

W tem popatrzy przed siebie,
Po chatkach i po niebie —
Przyszła mu myśl natchniona:
— Wioska, to moja żona.
Precz, precz troski odemnie!
Nie żyłem ja daremnie,
To mię wioska nagrodzi.
Ale wdzięczność zawodzi..
Choć nie stało starego
Ludzie sobie radzili.
Cóż robić moi mili?
Obeszło się bez niego.
W końcu i zapomnieli,
Co niegdyś z niego mieli;
Nikt nie spytał czy żyje,
Co je, albo co pije.

Aż raz w świętą niedzielę,
W karczmisku luda wiele,
Radzą sobie przy dzbanie;
A w tem pan wójt powstanie:
— Hej! panowie gromada!
Do sąsiadów zagada —
Dajcie no po złotemu!
Trzeba zanieść staremu,
Pyta rzesza zdziwiona:
— Dla kogo? — Dla Szymona.
Hej! panowie gromada!
Trzeba wesprzeć sąsiada —
Ten i ów głową skinie,
Ten i ów się wywinie,
Garść przecie się zebrała,
Dziesięć złotych bez mała.

Pod lasem oddalona
Stała chata Szymona.
Tam wójt co żywo spieszy,
Rad że starca ucieszy.
I przyszedł: klamką ruszy,
Nie słychać żywej duszy.
— Gdzieś poszedł! cóż u licha?
Lecz drzwi mocniej popycha,
Patrzy: Szymon na progu
Już oddał ducha Bogu.
Przy nim torba żebracza
I kij, godło tułacza.
Wójt złamany boleścią,
Powrócił z smutną wieścią.

W karczmisku znowu rada:
Nie mamy już sąsiada!
Ten wzdycha, płacze drugi,
Ten wspomina zasługi,
I smutek wielki wszędzie,
Że takiego nie będzie.
— Ha! stało się, ktoś rzecze —
Śmierci nikt nie uciecze!
Umiera, kto się rodzi!
Nie chciał naszego chleba,
Więc teraz jak się godzi —
Choć uczcić go potrzeba;
Są pieniądze, gromada
Do księdza — moja rada.
Więc mu pogrzeb sprawili,
I krzyż na grobie wbili.

Stanisław Cieszkowski
dzielny rycerz, jako się oparł pokusom pogańskim.

Kiedy nad polską krainą panował król Zygmunt III. rozmaici nieprzyjaciele napadali granicę ojczyzny naszej częściej jak za innych królów, i srogie rany zadawali Polsce. Ale też

mieliśmy wówczas więcej jak za innych królów, dzielnych hetmanów, co nieprzyjaciół odpierali i mścili się za krzywdy wyrządzone ojczyźnie, a to wszystko mieliście już dawniej w Dzwonku pięknie opisane.

Przecie czasem i dzielny hetman nie poradził — bo jak był z wojskiem na jednym końcu kraju i tam się potykał ze Szwedem albo Moskalem, trudno mu było bronić granicy na drugim końcu, kędy znowu trzeba było odpierać napady tureckie.

Owóż jednego razu także tak się zdarzyło, że Turcy wpadli do Polski właśnie w takiej chwili, kiedy nie było komu zastąpić im drogi. Poszczęściło im się, spustoszyli i zrabowali spory szmat kraju, nabrali niemało luda do niewoli i mieli się jeszcze dalej posunąć, ale nagle rozeszła się wieść że nadciąga polskie rycerstwo. Musieli czemprędzej uciekać, aby im łupów nie odbito.

Pędzą więc dzień i noc stepami i polami, przez różne wsie i miasta pogańskie, a nieszczęśliwym jeńcom, którzy zmiarkowali o co idzie, ledwo serce nie pęknie z żalu za ojczyzną, za wolnością kochaną, i z łez utulić się nie mogą, a ludność turecka ze wsi i miasteczek wybiega po nad drogę, i naigrawa się z biedaków, zamiast podać któremu choć trochę wody dla ochłodzenia.

Gdy tak pędzą i pędzą bez wytchnienia, przygnali wreszcie do stolicy państwa tureckiego, które to miasto nazywa się Konstantynopol, albo Carogród, albo po turecku Stambuł, i tu niewolnicy rozpoczęli swoją służbę.

Był pomiędzy nimi dzielny jeden rycerz, choć dopiero dwudziesto pięcioletni młodzian, Stanisław Cieszkowski, rotmistrz królewski. Syn wolności, nie wiedział co to niewola, nie umiał ugiąć karku pod jarzmem, ciężko mu więc było z początku, bardzo ciężko; nie mógł się oswoić ze swoją dolą, nie mógł się z losem pojednać. Ale człek to był wielkiego serca, nie upadł więc na duchu, szukał pociechy w religji, w modlitwie, wzmacniała go wiara w opatrzność boską i nadzieja że przecie kiedyś Bog miłosierny przemieni złe na dobre. Przytem był to człek poczciwy i sumienny, Turcy choć poganie, poznali się na nim, polubili go i zaraz mu byli powolniejsi,

a po niejakim czasie tyle względów pozyskał u swoich panów, że go już do robót nie używali, jeno zlecili mu dozór nad innymi więźniami.

Ale niewola zawsze niewolą; ulga w niewoli jest ulgą ciała ale nie dla duszy stęsknionej i niezadowolni serca uciśnionego. Rok za rokiem mija, nie widać nikogo z ojczyzny, coby się zgłosił z okupem po Stanisława Cieszkowskiego. W Polsce nie było jeńców tureckich, którychby można było wymienić za polskich. Cieszkowski miał w ojczyźnie krewnych nawet bogatych, liczyl na nich i pocieszał się że go wyratują, ale zawiódł się srodze. Co z oczu to i z myśli. Wreszcie kto tam wie co sobie krewni myśleli? Może go żałowali z początku, może myśleli że zginął. Dość że w końcu całkiem o nim zapomnieli.

Minął jeden dziesiątek lat, ciężki, bolesny. Bóg się nie zlitował, nie zesłał wybawcy. Jeniec przywykł do cierpienia, już mu tak nie ciężyło, oswoił się z gorzkim swoim losem, wyuczył się języka tureckiego i już prawie całkiem stracił nadzieję, aby mógł jeszcze kiedyś powrócić do kochanej ojczyzny.

Starszyzna pogańska postrzegła w nim zmianę na swoją korzyść, a już go tak uważali jak swego, jakby do ich rodziny należał. Chcieli go więc nagrodzić za długoletnią wierność i pracę i wrócić mu wolność. Ale Turek nie taki bardzo skory do dobrego uczynku względem chrześcianina! Owóż postawili mu warunek:

— Wyrzecz się wiary swojej i zostań Turkiem, a damy ci nietylko wolność ale i wszystko co zechcesz, bogactwa i zaszczyty o jakich nawet nie marzyłeś w ojczyźnie.

Ale Cieszkowski nie dał się skusić i nie przystał na ten warunek. Wiary się wyrzec? Wszakże to jedno mu zostało po stracie wolności. Tego jednego nikt mu odebrać nie mógł, a on sam miałby się tego wyrzekać? Hardo więc odrzucił obietnice i na nowo ugiął kark do jarzma. Teraz już było dobrze na drugi dziesiątek lat jak siedział w niewoli, a i ten drugi dziesiątek przebył wytrwale choć nie brakło pokus i namowy.

Turcy jak zobaczyli że on taki wytrwały w swojem przedsięwzięciu, nietylko mu tego za złe nie mieli, ale owszem powzięli dla niego jeszcze większy szacunek, jeszcze większą życzliwość. Jego pan opowiedział o nim swojemu sąsiadowi, ten znowu opowiedział drugiemu, wkrótce w całem mieście mówiono o Stanisławie Cieszkowskim, Polaku i jak szedł przez ulicę, to go sobie palcami pokazywano. Nakoniec doszła wieść o nim na dwór sułtana czyli cesarza tureckiego.

Sułtan usłyszawszy o nim, jaki jest wierny swemu panu, jaki pracowity, jaki cnotliwy, a przytem rozumny i obrotny, jak się zręcznie brał do każdej sprawy, którą mu powierzono, zapragnął go poznać i kazał przyprowadzić go przed siebie do pałacu.

Teraz już było prawie niepodobna oprzeć się pokusie. Sułtan rozmawiał z nim bardzo łaskawie okazywał największą przychylność i powiedział mu, że go zrobi baszą czyli wodzem tureckim jeżeli tylko swoją wiarę porzuci.

Ponętne to były obietnice dla biednego jeńca co już prawie zapomniał mowy ojczystej. Zachwiał się też, znękany tem wszystkiem i już omal się nie namyślił.

Powróciwszy od sułtana, poszedł do swojej izdebki, stanął w oknie, popatrzył ku północy kędy jego ojczyzna; rozmawia z wiatrem co ztamtąd wieje i zda się szeptać mu: wszystko stracone, zdaj się na los, korzystaj ze szczęścia póki ci się uśmiecha. A po chwili wiatr znowu inaczej szepce: Poczekaj jeszcze, poczekaj, Bóg nie zapomniał o tobie, nagrodzi cię za wytrwałość.

Pochylił głowę na piersi i duma, oko mimowolnie padło na gościniec, a tam ściele się tuman, długim szeregiem ciągnie wojsko jakieś. Poczekał chwilę i zaleciał go dźwięk mowy ojczystej, rodaków ujrzał przed sobą. To książę Zbaraski przybywał z licznym i świetnym dworem w poselstwie od króla polskiego.

Oj sławne to było poselstwo! W historjach piszą, że książę Zbaraski wydał na nie kilka milionów, ale też wystąpił z takim przepychem, jakiego nigdy przedtem Turcy nie widzieli. Dwór księcia składał się z siedmiuset ludzi konnych i pieszych

a wszyscy w bogatych sukniach, błyszczących od złota i drogich kamieni. Sam książę miał na sobie złotolitą suknię, a na wysokiej czapce z kosztownego futra, tkwiła wysoka kita w pięknem, dyamentowem spięciu. Jechał na dzielnym koniu który był taki rwiący, że go sześciu hajduków wstrzymywało.

W Cieszkowskim, co ze swego okienka patrzył na to wszystko, przemówiło serce, oczy łzami zaszły. Nie mógł dłużej wytrzymać, poszedł za swoimi, a stanąwszy przed księciem opowiedział mu wszystko i błagał o ratunek. Książę przyrzekł pomoc i słowa dotrzymał. Za jego staraniem Cieszkowski odzyskał wolność i wrócił do Polski. A chociaż tu nie osiągnął ani wielkich bogactw, ani zaszczytów, strawił szczęśliwie dalsze lata w domowej zagrodzie, ożeniwszy się z panną zacną i cnotliwą. Doczekał się syna i wychował go na obronę ojczyzny, dla której i sam, pomimo podeszłego wieku i starganego dwudziestoletnią niewolą zdrowia, poświęcał się ochoczo, a nawet gdy Szwedzi Polskę najechali chwycił za oręż i w bitwie pod Kwidzyniem odznaczył się znakomicie. Umarł nakoniec w ośmdziesiątym trzecim roku życia.

Jak się zabezpieczyć od szkód ogniowych?

Wszyscy to mówią, że mało jest krajów, gdzieby się ognie tak często zdarzały jak u nas. Czy doprawdy pożary są u nas częstsze jak gdzieindziej, tego nie wiemy, ale że są bardzo częste, to najlepiej wiecie wy, co na wsi mieszkacie; bo jak się już szczęśliwie zacznie jesień a gospodarze zwiozą zboże do stodół, to ledwie nie co wieczór widzicie straszne łuny to w tej, to w owej stronie. Oprócz tego zalatują was wieści że tu się spaliła chałupa, tam kilka chałup, albo i cała wieś, gdzieindziej znowu miasto, a w urzędach bardzo często każą się wam składać na różnych pogorzelców, co bez tej pomocy, musieliby chyba iść w świat o żebranym chlebie.

Tych częstych u nas ogniów rozmaite są przyczyny. Zdarzy się czasem że się chałupa albo stodoła zapali od piorunu; ale bogdajby tylko tyle szkód było! Daleko częściej palą się

domy przez własną nieostrożność gospodarzy i gospodyń, a jeszcze częściej z winy niedbałej czeladzi; gdzieindziej znowu źli ludzie podkładają ogień przez zemstę.

Oddawna już przemyśliwują nad tem, tak u nas jak i w innych krajach, coby uczynić, żeby się ognie tak często nie zdarzały, i próbują tego i owego. Więc jedni upominają gospodarzy aby się mieli na ostrożności, aby z fajkami nie chodzili i czeladzi nie pozwalali chodzić do stodół, aby ogień chowali przed dziećmi, bo i dzieci nieraz dla igraszki zapuszczają ogień, aby konopi i lnu nie suszyli w piecach, bo to bardzo niebezpiecznie. Drudzy nakazują warty nocne, pouczają ludzi jak domy stawiać, a osobliwie kominy i tym podobnie. Ale to wszystko nie pomaga. Pożary po staremu zawsze są bardzo częste, nawet i w takich miejscach, gdzie i warty są, i kominy dobre, i domostwa nie stoją bardzo blisko siebie, a gospodarze rozumni dają pozór i baczenie pilne tak na dzieci, jak i na czeladź.

Najlepszem z tego wszystkiego jest zabezpieczyć się w zakładzie ogniowym. Takich zakładów nie było dawniej u nas, tylko za granicą. Powstały one tym sposobem że się zebrało kilku kupców bogatych i ogłosili: kto się u nas zapisze, a co rok płacić będzie tyle a tyle, to jeśli się spali, dostanie od nas taką a taką sumę, aby sobie mógł dom postawić. Było to nie złe, i ludzie rzucili się do tych zakładów, zapisywali się i płacili. Ale gdy się pokazało, że poszkodowani nie zawsze tyle dostawali pieniędzy ile im się należało, i gdy ludzie zmiarkowali że to zaprawdę szkoda, tyle pieniędzy wysełać za granicę, a mało co albo i nic nie odbierać napowrót, ułożyli pomiędzy sobą założyć u nas taki zakład, aby go każdy miał pod bokiem i mógł w każdym razie trafić do niego.

Na taki zakład potrzeba bardzo dużo pieniędzy, zebrali się więc panowie nasi polscy, każdy dał po trochu i otworzyli w Krakowie zakład, ale nie taki jakie są za granicą, tylko zakład wzajemny, gdzie jakby w jakiem bractwie wszyscy się wzajemnie wspierają, a pieniędzy, które po zapomożeniu pogorzelców zostaną, nikt nie chowa do kieszeni, tylko te pieniądze zostają w kasie na wypadek, i wszyscy z nich wzajemnie korzystają, bo im jest więcej tych pieniędzy w kasie, tem mniej

opłaca każdy gospodarz, co chce swój dom albo swoje zboże zabezpieczyć od ognia.

Ten krakowski zakład jest dla wszystkich i dla bogatych i dla ubogich, dla panów, dla chłopów, dla mieszczan i dla żydów; słowem, kto tylko chce, może się w nim zabezpieczyć a jeżeli kto nie chce, to już jego własna wina; każdego tam przyjmą i każdemu, jak się spali szkodę wynagrodzą sumiennie i uczciwie, a prędko i bez żadnych kłopotów.

Już bardzo wiele gospodarzy próbowało, czy to warto zabezpieczać się w zakładzie krakowskim, a kto tylko spróbował, to jeśli go Pan Bóg nawiedził nieszczęściem, przekonał się jakie to wielkie dobrodziejstwo. Ale jeszcze więcej jest takich co się ociągają dlatego tylko, że nie wiedzą jak się wziąść do tego, a żałują fatygi iść do dworu, albo do księdza i popytać o radę. Zresztą zabezpieczyć się to wcale niewielka rzecz, bo w każdem miasteczku siedzi urzędnik co się nazywa: ajent towarzystwa ogniowego krakowskiego, który o wszystkiem oświeca i zapisuje tych co się chcą zabezpieczyć. Więc trzeba sobie tylko w domu rozmyślić co się chce zabezpieczyć, czy chałupę, czy stodołę, czy tylko zboże w stodole czy oboje razem, porachować wiele tam tego zboża jest, zapytać w miasteczku do pana ajenta, a on każdego przyjmie uczciwie, rozmówi się jak się patrzy, wypyta o wszystko, porachuje wiele trzeba wstępnego zapłacić i rzecz skończona. Możesz już zasypiać spokojnie i nie potrzebujesz się troskać co będziesz jadł, albo gdzie będziesz siedział jak ci się spali stodoła albo domostwo. Pan ajent, jak odbierze od ciebie pieniądze, to ci da kwit, gdzie wszystko jest zapisane czarno na białem coś zabezpieczył, wieleś zapłacił i wiele ci się należy gdybyś pogorzał, a ten kwit nazywa się policą.

Gdy ci się zaś, broń Boże, który budynek spali, to dasz zaraz znać panu ajentowi a wnet przyjedzie komisya, spisze wszystko, obliczy wieleś stracił, i ani się spodziejesz jak prędko dostaniesz pieniądze, byle się tylko z twojej strony nie pokazało jakie cygaństwo, bo komisya zwoła świadków, dójdzie wszystkiego, a wtedy i wstyd i nic nie zapłacą.

Kiedy więc mamy już pod bokiem taki dobry zakład, kiedy tam przyjmą każdego i w razie nieszczęścia, każdemu uczciwie zapłacą, a wszystko bez kłopotów i bez mitręgi i bez długiej pisaniny, jakżeby to dobrze było, żeby gospodarze co jeszcze nie są zabezpieczeni, nie ociągali się z tem dłużej. Będziesz zazdrościł twojemu sąsiadowi, albo dziedzicowi, albo księdzu gdy się pierwej od ciebie zabezpieczą, a potraciwszy przez ogień budynki, wezmą pieniądze i wystawią sobie jeszcze lepsze jak przedtem mieli. Owóż abyś nikomu nie potrzebował zazdrościć, nie dajże się nikomu wyprzedzić, owszem daj przykład tym co o własne dobro nie dbają.

Dlaczego wódka jest naszem największem nieszczęściem i jak temu nieszczęściu zaradzić?

Wódka dlatego jest naszem największem nieszczęściem, bo to, co w niej jest dobrego i pożytecznego, to każdy zaraz doświadcza skoro jej tylko skosztuje, a co w niej jest złego, to się dopiero powoli, później pokazuje. Wódka jest podobna do człowieka, który udaje cnotliwego i świątobliwego, a w gruncie jest łotrem i zbrodniarzem lecz się z tem zręcznie ukrywa.

Kto się zmęczy przy pracy i weźmie się do jadła, to choć napełni żołądek, krwi jeszcze mu nie przybyło, bo to nie może być prędzej jak za pięć albo sześć godzin. Dlatego po jedzeniu robotnik nie czuje się rzeźwym, ale owszem cięższym i radby się położyć. To też taki, co nie ma czasu po jedzeniu odpoczywać, widzi, że kieliszek wódki prędzej go orzeźwi jak jadło i dlatego woli wstąpić do karczmy na wódkę jak do chałupy na ciepłą polewkę. Ale gdy to kilka razy uczyni i przyzwyczai swój żołądek do wódki, to jest już na drodze do wielkiego nieszczęścia. Już on bez wódki nic strawić nie może, a nie dosyć na tem że ją pić musi, ale to najgorsze że jej pić musi coraz więcej. Z początku dość mu było kieliszek, później dwóch i trzech potrzebuje, w końcu i kwarta mu za mało — zostaje pijakiem, ani nie wie kiedy i jak, a wtedy choć widzi swoje nieszczęście i chciałby się poprawić, już to prawie nie jest w jego mocy.

Taki biedak gdy się napracuje, czuje głód; ale cóż? jego żołądek nie trawi już chleba ani ziemniaków, i dlatego jadło mu jest obmierzłe. A osłabione członki przecie domagają się posiłku, a on wie dobrze że jak się nie posili, nie będzie mógł pracować i nie zarobi na żonę i dzieci; więc nie mogąc jeść, pije znowu, bo wie także że wódka nie tylko go orzeźwia ale i głód uciszy.

Ludzie bogaci, co sobie także trunkami popsuli żołądek i już nic trawić nie mogą, radzą sobie tak, że jadają tylko lekkie a bardzo posilne potrawy, smaczną polewkę z mięsa albo i samo mięso, dobrze posiekane a korzeniami zaprawne, i to ich ratuje. Bogatego co pracować nie potrzebuje, jadło także zaraz nie wzmocni, ale on może się po obiedzie przespać, bo ma na to dość czasu, potem się zwolna przechadza i znowu zasiada do lekkiego jadła, i tak żyje ciągle póki całkiem sił nie odzyska. A gdyby nagle przez jakie nieszczęście zubożał i nie mógł już żyć po dawnemu, z pewnością zostałby także pijakiem jak jest nim prawie każden biedak. Ludzie powiedzieliby o nim że się rozpił z rozpaczy, ale to bajka, jego żołądek dlatego tylko wódki się domaga, bo czarnego chleba nie strawi, a dobrego rosołu, korzennego mięsa i innych lekkich przysmaków nie dostanie.

Dlatego to o biedakach co się wódką ratują, nie trzeba mówić że ich djabeł ciągnie do kieliszka ale starać się trzeba o to, aby biedny robotnik miał co jeść, aby to, co je, było bez ości, bez ziemi, posilne i zdrowe, a wtedy dopiero mniej będzie pijaków. Nie pomoże tu żadna najuroczystsza przysięga, ani zapisanie się do bractwa wstrzemięźliwości, nie pomoże zażegnywanie ani zamawianie, jeno jedno tylko dobre jadło pomoże. A o tem, to już najwięcej same gospodynie, mężów i czeladź mające, myśleć powinny.

Rozumna i dobra gospodyni bardzo łatwo może nieszczęściu z wódki pochodzącemu zaradzić i swemu domowi wyświadczyć największe dobrodziejstwo. Gospodyni powinna pamiętać że chłop tylko wtedy może ją i jej dzieci wyżywić, gdy sam dobrze jada. Wstyd i hańba jeżeli gospodyni i tyle o swoim mężu nie pamięta co o swojej krowie, albo o swojej kurze. Wiesz, że

krowa nie daje mleka gdy jej dobrze nie karmisz, a chciałabyś zbyć byle czem męża, żywiciela twojego? pomnijże więc: skoro twój mąż bierze się do wódki, nic nie jest tego przyczyną, tylko złe jadło które mu dajesz i śpiesz się zaradzić nieszczęściu które wisi nad tobą. Od gęby sobie odejmij a staraj się żeby twój mąż miał choć czasem polewkę z mięsa, dobrze posoloną i popieprzoną, uciesz go jeśli możesz jakową niespodzianką i ugotuj mu co wiesz że najlepiej lubi, uproś go aby na śniadanie jadał więcej jak zwykle, staraj się aby wszystko co mu dajesz do jedzenia było posilne i smaczne — a najbardziej o to, aby twój mąż nie miał w domu zgryzoty, aby się z tobą kłócić i swarzyć nie potrzebował.

Jeżeli to robić będziesz, ty ubożuchna wieśniaczko, co w prostocie twojej nic się nie ważysz, będziesz miała przed Bogiem wielkie zasługi, i — wybacz Panie grzesznym ustom zuchwałe porównanie — jak ona Najświętsza Panienka Marya, wydawszy na świat Zbawiciela świata, przyczyniła się do odkupienia całej ludzkości, tak ty odwrócisz od kraju naszego największe nieszczęście, wódkę, bo za twoim przykładem pójdą twoje sąsiadki i cała twoja wieś, a za twoją wsią wszystkie wsie w około, w czem niech ci Bóg dopomoże.

RÓŻNOŚCI.

W Kentach rozpoczął się d. 16. zeszłego miesiąca trzydziestodniowy odpust św. Jana Kantego, który tylko raz na sto lat przypada. Zjechało się na ten odpust bardzo wielu księży a lud wiejski schodzi się procesjami nawet z odległych stron.

Jak uwolnić drzewa owocowe od mchu? Kto chce drzewo owocowe uwolnić od mchu i przywrócić mu siły żywotne, niech na wiosnę i w jesieni rozkopie ziemię naokoło drzewa, aż do miejsca gdzie już korzenie zaczynają się rozgałęziać. W ten dół niech wsypie pół korca popiołu wygotowanego, i niech go lekko ziemią przykryje. Potem trzeba pień i gałęzie obmyć gnojówką ze świńskiego chlewu — a temi dwoma środkami nie tylko uratuje się drzewo, co już miało pruchnieć, ale drzewo tak zasilone rodzi odtąd daleko obficiej jak dawniej.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.